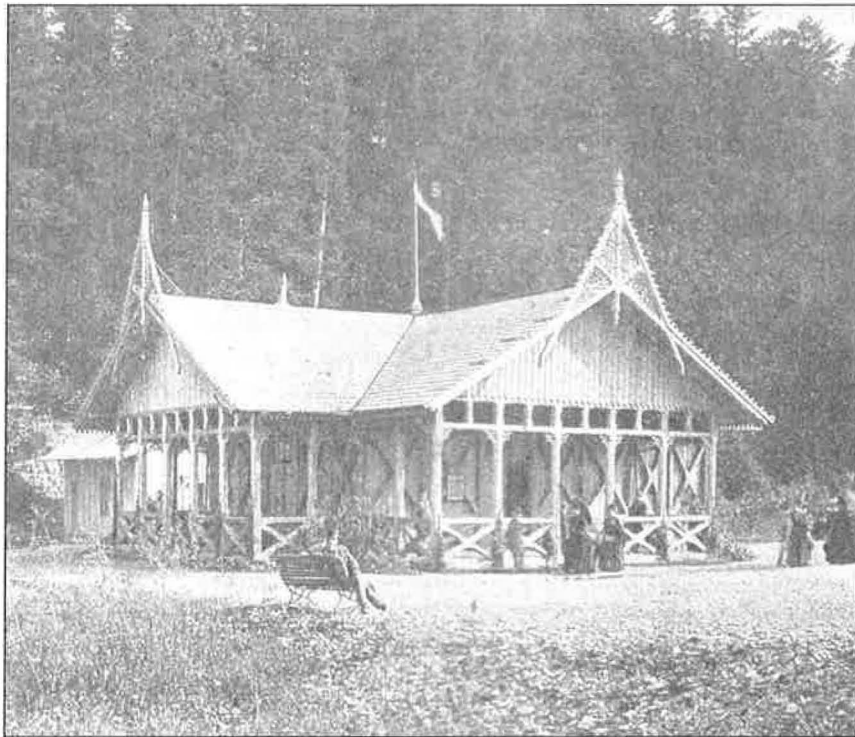


ROCZNIK

RYMANOWA ZDROJU



STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ RYMANOWA ZDROJU

1997
TOM II

FOT-ART'94

Mieczysław Orłowicz

MOJE WSPOMNIENIA (FRAGMENTY) POBYT OJCA W RYMANOWIE WRAZ Z RODZINĄ W LATACH 1895-1904

Rymanów, miasteczko położone na wzgórzach jak wszystkie miasta na Podkarpaciu, na przestrzeni gdzieś od Czchowa i Wiśnicza po Sanok i Lesko, nie był dla zamieszkałego tutaj notariusza złotą żyłą. Dlatego też w takich mięscinach dostawali posady tacy kandydaci notarialni, którzy jeszcze tytułu notariusza nie mieli. Za życia mego ojca dla absolwentów prawa, którzy pełnili praktykę adwokacką w kancelariach notarialnych, coraz trudniejsze były warunki uzyskania posady notariusza. Gdy ojciec skończył prawo około roku 1872, notariuszem zostawało się po trzech latach praktyki. Zrozumiałe, że nie mogło być więcej notariuszów, aniżeli posad, z tym że w większości miejscowości bez sądu obwodowego był tylko jeden notariusz. Nawet w miejscowościach o tak dużych dochodach ze względu na przemysł naftowych jak Drohobycz, był również tylko jeden notariusz. Miejscowości, w których były siedziby sądów obwodowych, jak np. w Przemyślu, pracowało dwóch notariuszy, a np. Jarosław utrzymywał tylko jednego notariusza, bo był tu zaledwie sąd powiatowy, Lwów miał czterech notariuszy. Oczywiście, na takie posady, jak we Lwowie, Przemyślu, Drohobyczu, z dochodami kilku tysięcy guldenów miesięcznie, dostawali się tylko notariusze z posad w mniejszych miastach i przy mniej dochodowych sądach. Dzięki temu opróżniały się posady w miejscowościach tego typu, jak Rymanów, gdzie mogli prawnicy, będąc zaledwie kandydatami notarialnymi, dostać na początek posadę notariusza.

Kilka lat przedtem rozlicznymi awansami ci starsi kandydaci dostawali się do pierwszego szeregu w wykazach kandydatów notarialnych, jako najbliżsi awansu. Niestety, ojciec „na turze“ był kilka lat, mniej więcej przez cały czas okres mego pobytu w niższym gimnazjum, gdyż wówczas żyjący notariusze nie kwapili się do opróżniania swych posad i żyli długo i szczęśliwie w zdrowiu i humorze oraz odpowiednim dostatku, budząc zazdrość głodomorów spośród kandydatów notarialnych.

Z daleka wydawał się Rymanów złą posadą jako miasteczko położone w okolicy bardzo ubogich wiosek łemkowskich w Beskidzie Niskim, o gruntach tak

nędznych i klimacie tak zimnym, że rodziły się tu zaledwie 3 rośliny: owies, trawa i ziemniaki, nawet żyto nie rodziło się, a o owsie mówiono, że tutaj tylko „brat rodzi brata“, czyli jedno ziarno zasianego owsa wydaje równie tylko jedno jako plon dorocznej pracy. Ale i w tej okolicy powstało dla notariusza znaczne źródło zysków, a mianowicie z kontraktów naftowych. W okolicy Rymanowa, na terenie tutejszego sądu, w wielu wsiach wytrysnęły źródła naftowe, co prawda niezbyt wydajne, ale dawało to okazję zatrudniania notariusza przy pisaniu niemal jednakowych kontraktów z setkami, a nawet tysiącami chłopów, jako właścicielami gruntów, na których pojawiła się ropa. Trzeba więc było prowadzić rurociąg z rozmaitych wiosek w górach do sieci kolejowej Rymanowa, a to wymagało spisania z każdym właścicielem gruntu kontraktu za określoną opłatą. Chłopi również z tego ciągnęli zyski, bo udostępniali swoje grunty na prowadzenie rurociągu. Wielu właścicieli tych gruntów wyemigrowało do Ameryki i trzeba było spisywać kontrakty z osobami zamieszkałymi „za oceanem“, korzystając z pomocy tamtejszych adwokatów i notariuszy, za co także liczyło się według taryfy urzędowej odpowiednio rachunki obliczane w dolarach.

Rymanów, jak już wspomniałem, był miasteczkiem leżącym w powiecie sanockim, położonym na wzgórzach, dominującym nad w miarę równą okolicą na północ od miasteczka. Okolica ta zaliczana była do tzw. Podola Sanockiego, urodzajnej kotliny, sięgającej od Rymanowa poprzez Krosno aż po okolice Jasła. Rymanów leżał nad rzeką Tabą, dopływem Wisłoku. Tała wypływała na południe od Rymanowa wśród wzgórz Beskidu Niskiego i płynęła ku północy, gdzie wpadała do Wisłoka, zmieniając nazwę na Morawa. Nad Tabą leżał nie tylko Rymanów, ale także zakład kąpielowy Rymanów-Zdrój. Rzeczka była mała, w dniach letnich toczyła niewielką ilość wody i to zanieczyszczonej często ropą naftową ze źródeł naftowych w górnym biegu Taby. Dno było kamieniste, nieprzyjemne do kąpieli. W okresie letnich ulew, które często przybierają postać oberwania się chmury, Tała stawała się na kilka godzin nawet groźna i niebez-

pieczna. Zalewała i obrywała brzegi, znosiła chaty i wiejskie stodoły, zabierała z przybrzeżnych łąk sterty siana, zrywała mostki. Wyrządzała więc duże szkody nie tylko w Rymanowie, mieście położonym na górze, ale w jego obydwu przedmieściach, które leżały wzdłuż Taby na południe i na północ od Rymanowa. Przedmieście północne miało wygląd wsi, która ciągnęła się od miasteczka w kierunku dworca kolejowego, i nazywało się Posadą Dolną. Przedmieście górne ciągnęło się wzdłuż Taby powyżej Rymanowa—Miasta w kierunku zakładu kąpielowego Rymanów—Zdrój i nosiło nazwę: Posada Górna. Nadmieniam, że w powiecie sanockim i jego dalszej okolicy słowo „posada“ oznaczało w ogóle przedmieście, miasteczko o typie wiejskim. Istniały zatem Posada Sanocka, Posada Jaćmierska, koło miasteczka Jaćmierz, są Posady Rymanowskie i inne o tej samej nazwie.

W okresie pobytu ojca w Rymanowie należało ono do tych nielicznych miasteczek b. Galicji, które miały dużą przewagę ludności żydowskiej. Mniej więcej 80 % ludności Rymanowa—Miasta stanowiła ludność żydowska, natomiast ludność polska to niemal chłopci, zamieszkujący obydwie przedmieścia. Rymanów—Miasto było w tych czasach siedzibą jednego z najśłynniejszych rabinów—cadyków b. Galicji. Ściągały tu więc tłumy pielgrzymów żydowskich z całej Galicji

W Rymanowie ojciec wynajmował mieszkanie nadające się również na prowadzenie kancelarii notarialnej. Mieszkanie to znajdowało się w sąsiedztwie rynku, bardzo blisko sądu. Właścicielem był mieszczanin Białas. Mieszkaliśmy tutaj około 7 lat, a dopiero na ostatnie 2 lata trzeba było sprowadzić się do innego mieszkania, o wiele mniej wygodnego zarówno ze względu na położenie, jak i na rozkład pokoi. W każdym razie miejsca było dość, każdy miał dla siebie jakiś pokój, a dla gości również można było urządzić specjalny pokój, choć nie bardzo na nich liczone w Rymanowie, gdzie życie towarzyskie ograniczało się tylko do wizyt dość ceremonialnych i bardzo pretensjonalnych, nudnych i kosztownych przez kilka dni w roku. Na ogół wizyty miejscowej inteligencji, złożonej zaledwie z kilkunastu osób, ograniczały się tylko do kilku dni w roku. Najbardziej etykietalne były obowiązkowe wizyty na święta Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy, natomiast mniej etykietalne, ale bardziej sute były wizyty w dniu imienin pana czy pani domu. Zresztą o życiu towarzyskim napiszę jeszcze później, kiedy już podrośłem i jako student zacząłem być pełnoprawnym członkiem „rymanowskiego towarzystwa“. Nie byłem nim absolutnie w okresie nauki gimnazjalnej, gdyż według poglądów galicyjskich uczeń gimnazjalny nie zaliczał się do dorosłego towarzystwa, nie miał żadnych względów u płci pięknej jako kandydat na narzeczonego. Rymanów, jako małe miasteczko liczące około 3 tysięcy mieszkańców, nie



Rymanów Zdrój.
Pod Aniołem Stróżem.

Rymanów Zdrój. Pod Aniołem Stróżem. Ze zbiorów Mariusza Włodarczyka.

miało gimnazjum. Najbliższe gimnazja były w Sanoku (25 km) i Jasle (30 km). Tak się osobliwie zdarzyło, że zarówno wśród inteligencji, jak wśród mieszczan nikt nie miał syna w wieku wyższego gimnazjum w żadnym z wymienionych gimnazjów. Czy to na wakacje, czy to na ferie świąteczne byłem jedynym uczniem wyższego gimnazjum (ze złotymi paskami na kołnierzu), który przyjeżdżał do Rymanowa. Musiałem więc stykać się z dorosłymi osobami albo małymi dziećmi. Nie odpowiadało mi ani jedno, ani drugie towarzystwo. I stąd dotychczas jeszcze ziewam na samo wspomnienie Rymanowa i spędzonych tu wakacji. Zostały więc codzienne przechadzki z Rymanowa do Rymanowa – Zdroju i z powrotem, które wynosiły tam i z powrotem 10 km. Ale wędrówki stałe tą samą drogą, w dodatku utrzymaną lichą, pełną kurzu pokrywającego ubranie i obuwie, a w razie nawet małego deszczu pełną głębokiego jasnego błota, nie należały do przyjemności. W dodatku droga – szosa, o ile można ją tak nazwać, biegła wzdłuż rowów, prawie całkowicie pozbawionych drzew, a zatem nie dających cienia przed upałem. Co gorzej, Rymanów słynął z wichrów jeszcze gorszych niż halniak zakopiański. Nosiły one nazwę „wiatru rymanowskiego“ i wiały właściwie przez cały rok, przez wszystkie jego pory. Wiały one z południa, tj. węgierskiej strony, wdzierały się na tereny b. Galicji przez Przełęcz Dukielską w okolice 3 miasteczek: Rymanowa, Dukli i Krosna. Wichry te nie napędzały ciepła, jak halny wiatr w Zakopanem, przeciwnie – zimno. Jak były one silne, świadczy następujący fakt. Pewnego razu jesienią wikary z Iwonicza pojechał do Krosna chłopskim wozem zaprzężonym w 2 konie, mając przy tym na wozie woźnicę, organistę i wikarego, razem 4 osoby i ponadto załadowaną w Krośnie 100 litrową beczką z winem. W drodze powrotnej z Iwonicza jechał szosą równoległą do kierunku wiatru z Przełęczy Dukielskiej, w pewnej chwili na skutek silnego podmuchu wiatru cały wóz wykręcił się do rowu. W okresie dziewięciu zim spędzonych w Rymanowie stwierdziłem, że nigdy nie było tam śniegu. Śnieg padał każdej zimy, ale równocześnie wichry rymanowskie zagarniały szybko cały świeżo spadły śnieg w ogromne zasy, np. do wysokości chałup. Zasy te, bardzo głębokie i wysokie, chłoneły całą ilość świeżego śniegu z pól. Spod wywianego śniegu wzywała goła ziemia. Żadnych więc atrakcji dla narciarzy. Nic dziwnego, że przy takiej aurze turyści ani narciarze nie zapuszczali się nigdy w zimie w okolice Rymanowa, Przełęczy Dukielskiej i Sanockiego Podola. W lecie zaglądali tutaj rzadko i tylko do określonych miejscowości.

Trudno sobie wyobrazić, jak monotennie płynęło życie za czasów galicyjskich, krótko mówiąc za rządów Franciszka Józefa I, który panował przeszło 60 lat (1848–1916 r.), a mój ojciec, który umarł, mając 65 lat, urodził się za tego cesarza (w r. 1849) i umarł za niego (w r. 1913), nie widząc w życiu zmiany panującego, a nawet zmiany waluty. Trzeba stwierdzić, że

w owym okresie panowała kastowość i ekskluzywność urzędnicza. Z jednej strony okolice zamieszkiwało po dworach obywatelstwo ziemskie, w liczbie kilkudziesięciu rodzin w okolicy Rymanowa, nie utrzymujące stosunków towarzyskich z inteligencją; uznawano ich bowiem za niegodnych tego zaszczytu, bo niższych w hierarchii społecznej od nich, gdyż przeważnie byli to potomkowie chłopów lub mieszczan. Z drugiej strony inteligencja złożona np. z 10 rodzin nie stanowiła zgranego zespołu towarzyskiego. Byli wśród nich Polacy, Rusini, i to w jednych rodzinach Ukraińcy, w drugich – Starorusini, mający się za Rosjan, a żyjący „na noże“ z Ukraińcami.

Do grupy tej należało: czasem dwóch lekarzy (bywał i jeden), czterech urzędników sądowych (z reguły różnych narodowości), w wieku od 25 do 60 lat, dwóch księży: jeden proboszcz, drugi wikary (różni wiekiem), poza tym adwokat, notariusz – i tyle świecy i wosku! Urozmaicały to towarzystwo panie bardzo różnego wieku, wykształcenia i narodowości, układające świat nie według własnych aspiracji i poglądów, ale według rang, tytułów i gwiazdek na kołnierzach swych mężów. Nic więc dziwnego, że w takich warunkach stworzyć jakiś ensemble, który czułby się dobrze we własnym towarzystwie i który w dodatku poza mną jedynym pozbawiony był zupełnie młodzieży poniżej lat 20, a nawet 25 było nie sposób. Gdybyśmy znaleźli się we „własnym“ towarzystwie, ponieważ konwenans kazał się „znaleźć“, ziewaliśmy na swój widok, a rozmowa kleiła się z trudem. Panowie dyskutowali poważnie o aktach sądowych, kontraktach i procesach, panie zaś plotkowały. Najbardziej ulubionym tematem tych plotek, których unikałem jak zarazy, były wady służących. Nie było dość słów potępienia na różne Marianny, Paraski i Katarzyny. I rzeczywiście, trudno było nie grzmieć słysząc, ile w ciągu tygodnia przepiekało się strucli z jabłkami, a ile zwarzyło przekwaszonego mleka.

W dodatku, co lepsze służące uciekały czym prędzej drogą awansu społecznego do Sanoka, który od Rymanowa nie był o wiele większy (5 tys. mieszkańców), ale w oczach służących był Eldoradem, bo mieścił garnizon, złożony nie tylko z piechoty, ale nawet z kawalerii (ułani!). Tam żyć, nie umierać! – mówiła każda Marianna, której w Rymanowie nie można było zatrzymać.

Zapytacie, co robiła reszta inteligencji w Rymanowie, chociażby np. nauczycielstwo szkół powszechnych, urzędnicy pocztowi albo podatkwowi. Owszem, byli, ale nie zaliczali się do inteligencji, bo nikt z nich nie miał wyższego wykształcenia, akademickiego. Z takimi, jak to mówiono, „nie żyło się“, ani też nie bywało u nich, ani nie zapraszało na przyjęcia, bo cóż by na to powiedziała jakaś obecna tam pani radczyni albo pani mecenasowa. Nauczycielki nie zaliczały się do inteligencji, chociaż kończyły seminarium nauczycielskie. Nie dawało ono tytułu do tak „wysokiego“ awansu społecznego, by bywać na tych samych przyję-

ciach, w których uczestniczyli absolwenci prawa czy medycyny. Z jednego fachu, a mianowicie filozofii, nie mieliśmy w Rymanowie przedstawiciela, gdyż jako miejscowość pozbawiona szkół średnich nie wymagała wśród nauczycieli nikogo, kto by musiał kończyć ten fakultet.

Wystarczali absolwenci seminariów nauczycielskich i ukończone poprzednio 4 klasy gimnazjum. Wśród mieszczañstwa nie było żadnych ludzi wolnych zawodów, o szerszym horyzoncie umysłowym. Byli tylko albo rzemieślnicy, albo dorożkarze, albo kupcy żydowscy. Takich fachowców, jak np. lekarz weterynarii czy inżynier drogowy nie było. Po jednym „egzemplarzu“ w całym powiecie, a zatem w danym przypadku tylko w Sanoku(...)

Zaraz po sprowadzeniu się ojca do Rymanowa otworzył on kancelarię notarialną, natomiast matka przyjechała dopiero w lipcu, gdy zaczęły się już ferie letnie i gdy zwieźliśmy z Sambora także meble i pościel. Na 8 pokoi nie wystarczyło nam mebli przywiezionych z dotychczasowych mieszkań w małych miasteczkach. Dla części pokoi trzeba było zakupić nowe meble, zdaje mi się, że w Sanoku, jeżeli nie we Lwowie. Do Sanoka jeździliśmy bowiem powozem względnie furmanką po zakupy z tej dziedziny i tych towarów, których nie było ani nie starczyło w dostatecznym wyborze w Rymanowie. Po cokolwiek lepsze towary jeździła matka, a często i ojciec do Lwowa. (...)

Te podróże i to meblowanie mieszkania pochłonięły szereg dni skracając wakacje. Toteż podczas tych wakacji nigdzie nie wyjeżdżałem, spędziłem je w Rymanowie, co najwyżej odwiedzając na krótko dziadka i babkę w Pruchniku koło Jarosławia. Natomiast byłem stałym gościem Rymanowa Zdroju, oddalonego 4 km na południe i ładnie położonego wśród gór i lasów, gdzie w sezonie kąpielowym, mniej więcej od 13 czerwca do 31 sierpnia, bywało około 2 tysięcy osób. Na deptaku przygrywała rano i po południu orkiestra zakładowa, grupa Czechów pod dyrekcją niejakiego Klimy, gdzie odbywały się wieczorem w niedzielę zabawy z tańcami dla dorosłych. W czwartki zaś, od 5 do 7 po południu w tym samym dworcu zdrojowym, z ogromną salą balową, odbywały się zabawy dla dzieci zwane z niemiecka „kinderbale“, które cieszyły się ogromnym powodzeniem. Na te bale przychodziły dzieci w wieku od 6 lat w górę. Trzeba bowiem uwzględnić, że Rymanów Zdrój, podobnie jak później Rabka, był uzdrowiskiem o wodach jodowo-bromowych dla dzieci. Pod opieką matek (bardzo rzadko ojców), dziatwa stanowiła główną klientelę tego zakładu, założonego około 1855 r. przez hr. Tytusa Potockiego, prowadzonego przez jego syna, jednego z 5 dzieci, Jana Potockiego, który w początkach XX wieku był prezesem Związku Uzdrowisk b. Galicji i jako taki dość energicznie popierał w nich także turystykę.

W Rymanowie Zdroju nie pielęgnowano modnego obecnie systemu pensjonatowego, tzn. opłacania ca-



Rymanów. Rynek - ściana wschodnia. Ze zbiorów Mariusza Włodarczyka.

łego pobytu w zarządzie willi. Tutaj w willach, należących do Potockiego, były tylko mieszkania. Nie było tam nawet kuchni, gdzie można by było gotować obiady. Potocki bał się bowiem spowodowania pożaru w drewnianych willach. Dlatego na obiady trzeba było chodzić do restauracji zdrojowej, która była wprawdzie także ogromną willą, ale w której już należycie przestrzegano zasad bezpieczeństwa. Pobyt w uzdrowisku był więc dość kosztowny, ale to nie wzruszało Potockiego, twierdził on bowiem, że nie chce mieć w uzdrowisku, podobnie jak to było w Iwoniczu, publiki zbyt biednej i zbyt brudnej. Szczególnie obawy te wyrażał pod adresem proletariatu żydowskiego, chałatowego. W Rymanowie było ich też niemało, ale w Iwoniczu tym więcej. Właściciele Iwonicza, hr. Załuscy nie żywili widocznie obaw podobnych Potockiemu w Rymanowie.

Dopóki nie znałem uzdrowiska i jego okolic, te moje wędrówki ranne i popołudniowe z Rymanowa Miasta i Rymanowa Zdroju poświęcone były zwiedzaniu całego uzdrowiska z wszystkimi malowniczymi willami, rozrzuconymi po wzgórzach i dolinach, oraz zwiedzaniu okolicznych lasów, przeważnie jodłowych, starych i pięknych na górze Zamczysko i na Łysej Górze (590–602 m), które otaczały Zakład Kąpielowy z obydwu stron, chroniąc go jako tako od rymanowskiego wiatru, a w zimie od zawiei śnieżnych.

W tym czasie były tu trzy źródła z wodami jodowo-bromowymi o nazwach: Tytus (źródło najpopularniejsze), Celestyna i Anna (wszystkie te nazwy pochodzą od imion członków rodziny Potockich). Niedaleko źródeł, nakrytych altaną, aby goście nie mokli w czasie deszczu, stały łaźienki mineralne z kilkudziesięciu wannami do kąpieli oraz rozciągał się tak zwany deptak, gdzie grała rano i wieczorem orkiestra zakładowa. W dni powszednie koncertu tej orkiestry słuchali wyłącznie miejscowi goście. Na niedziele i święta przyjeżdżali tu goście z dalekiej okolicy, przeważnie właściciele dóbr ziemskich, popisując się pięknymi zaprzęgami i końmi. Często przyjeżdżali tu kolarze i to aż z Sanoka i Krosna. Najbardziej zabawne popisy sportowe, jakie widziałem w owych latach, odbywały się na tzw. bocyklach, w czasach, kiedy jeszcze nie było rowerów. Były to wysokie niezgrabne wehikuly o jednym kole ogromnym, drugim zaś małym. Kolarze siedzieli wysoko, z trudem utrzymując równowagę na wyboistych szosach czy na równie wyboistych łąkach, na których w sezonie letnim urządzano wyścigi, organizowane przez istniejące już wówczas Towarzystwa Kolarskie z siedzibą w najbliższym wojewódzkim mieście. Nie było to widowisko ani zbyt sportowe, ani zbyt interesujące z powodu braku odpowiednich torów wyścigowych. Na łąkach wyboistych i porośłych trawą żaden mistrz nie mógł popisać się swoją sztuką, a zwycięstwa nie były przekonywujące i nie budziły entuzjazmu. Publiczność była raczej skłonna traktować całe widowisko „na wesoło“ jako z góry umówioną farsę. Zresztą taki wyścig nie odby-

wał się nigdy w Rymanowie Zdroju, ale raczej na tzw. „torze wyścigowym“ koło dworu w Rymanowie Mieście i goście z Zakładu Kąpielowego, chcąc je zobaczyć, musieli odbywać dość dalekie wędrówki do miasta, po zakurzonej szosie. Naturalnie, zwiedziwszy sam Zakład Kąpielowy, zwiedziłem również i okoliczne wzgórze, a wśród nich najwyższą – Wołtuszowską Górę (640 m), nazwaną tak od wsi łemkowskiej Wołtuszowa, leżącej u jej stóp, o 1 km od Zakładu Kąpielowego. Stąd rozciągał się piękny widok na okoliczne góry. Jak wspomniałem, w niedzielę, w porze wieczornej odbywały się w Rymanowie Zakładzie Kąpielowym zabawy z tańcami. Ceremoniał w Zakładach Kąpielowych był mniej surowy niż w mieście. Można było iść na taką zabawę nawet w marynarce, ale w żadnym razie nie w kolorowej koszuli ani z miękkimi kohnierzami, lecz w koszuli sztywnej, białej, nakrochmalonej, w rękawiczkach i lakierkach na nogach. Obowiązywały też bukiety dla danserek kotyliona. Znajomość z damami zawierało się szybko, ale powiem szczerze, że nie było w czym wybierać, bo wszystkich dam, mogących tańczyć i chcących tańczyć, było w najlepszym razie kilkanaście, Mężczyzn, w tym także uczniów gimnazjalnych, zawsze było mniej i deficyt dawał się odczuwać bardzo dotkliwie, gdyż, jak to wówczas mówiono, panie „sprzedawały pietruszkę“, tj. siedziały na miejscu bez dansera. Nie byłoby to tak bardzo rzucające się w oczy, gdyby, jak np. obecnie, uznawano same tańce wirowe, ale wówczas były one raczej rzadkością, a przeważały figurowe z zaangażowanymi do danego tańca na cały czas danserkami. Figury jednych tańców, jak np. lansjera, były z góry przewidziane regułami tańca, których można było nauczyć się z podręcznika albo u prowadzącego kursy zbiorowe nauczyciela. Przewidywały jednakże tańce figurowe i takie figury, które zależały od fantazji aranżera, którym najczęściej był jakiś student (i ja nim często bywałem w okresie studiów akademickich), oficer, jeżeli mówił po polsku, bardzo rzadko jakiś człowiek „już ukończony“, jak to wówczas mówiono „człowiek na stanowisku“. Takimi tańcami z figurami był mianowicie mazur, kadryl, kotylio, tj. walc z figurami i z przypinaniem danserkom przez danserów orderów z papieru. Poza tym zaś jeden lub dwa walce bez figur, ale trwające przez całą godzinę ze zmienianymi w czasie tańca danserkami, które odprowadzało się na miejsce. Trzeba w dodatku wiedzieć, że w owym czasie aż do wybuchu wojny światowej w 1914 r. nie wypadało nigdzie w Galicji, a tym samym w Rymanowie Zdroju, aby danserki na bale przychodziły bez odpowiedniej opieki i taką opieką dla żony był mąż, dla panny matka, ciotka albo starsza siostra zamężna, a dla narzeczonej narzeczonny (ale po oficjalnych zaręczynach). Która z pań nie miała takiej opieki, wynikającej z pokrewieństwa czy powinowactwa, prosiła o opiekę teoretyczną kogoś z idących na zabawę, naturalnie spośród pań.

Gdy sobie obecnie przypominam czasy przed wojną europejską, zbiera mnie śmiech pusty na widok ówczesnych matkujących mam. Był to okres, kiedy panie w zamożniejszych domach nie pracowały fizycznie, wyręczając się służbą domową, sportów też nie uprawiały, na wycieczki piesze nie wypadało chodzić, jazda powozem nie była najczęściej połączona z jakimś ruchem i w konsekwencji, pędząc żywot haremowy i pozbawiony ruchu, tyły w sposób nieznamy dzisiejszemu społeczeństwu. Taka galeria mam, przeważnie w wieku 50–60 lat, drzemiących, o tuszy okazałej i obwisłych podbródkach, była nieodzowna na każdej zabawie. Bez nich ani rusz!

Młodzi ludzie znajdowali na nie sposób. Jeden lub dwóch zabawiało mamy, a inni tymczasem flirtowali z pannami. Takie zabawianie mam nazywało się w ówczesnym żargonie studenckim „odwalać słońca”. Niestety, mnie w Rymanowie na początku mojej kariery wieczorkowej rola „słońca” dostawała się częściej niż dansera, ku mojemu szczeremu niezadowoleniu. No, ale wszędzie trzeba przechodzić okres terminowania. „Słoń” w ówczesnym pojęciu galicyjskim z końca XIX wieku to był właśnie terminator na lowelasa.

Sezon hotelowy w Rymanowie Zdroju trwał corocznie od 15 maja do 20 września i składał się z trzech sezonów: dwóch tanich – od 15 maja do 15 czerwca oraz od 20 sierpnia do 20 września. W pierwszym i trzecim sezonie, mimo o wiele tańszych cen, panowały pustki. Trudno było nawet znaleźć kogoś, do kogo można było kilka słów przemówić. Restauracja nie była czynna poza okresem do 31 sierpnia, orkiestra wyjeżdżała z Rymanowa, panowała tu zatem pustka, ale i głucha cisza. Wtedy naturalnie nie odbywały się już żadne zabawy, chociażby dla dzieci. Właściwy sezon ograniczał się do okresu: od 15 czerwca do 20 sierpnia, ale i w tym czasie przez miesiąc (od 15 czerwca do 15 lipca) było w Zakładzie dosyć przestronnie, w willach nawet połowa pokoi nie była jeszcze zajęta. Dopiero w kilka dni po rozdaniu świadectw w szkołach średnich Galicji Wschodniej, co następowało w dniach 15, 16 i 17 lipca, gdyż tutaj wakacje były krótsze ze względu na święta grekokatolickie, następował masowy najazd gości na Zakład rymanowski. Przed zarządem Zakładu stał po każdym pociągu ogon gości, zajmujących resztki wolnych jeszcze pokoi. W dniu 17 lipca, bez względu na pogodę, zakład zapełniał się do ostatniego pokoju, a na zakładzie wywieszano kartkę: „Wszystkie pokoje zajęte”. Taki stan trwał przez 5 tygodni. Około 20 sierpnia zaczynał się odjazd gości, a po tygodniu, tj. 25 sierpnia, wiało już pustką tzw. trzeciego sezonu. Zakład ten odwiedzałem głównie w okresie pełnego sezonu, natomiast w pierwszym i trzecim sezonie nie bardzo opłacało mi się przychodzić tutaj z miasta. Wtedy mój żywot ograniczał się raczej do pobytu wy-

łącznie w Rymanowie–Mieście, a jeżeli miałem czas swobodny, to poświęcałem go w okresie studiów uniwersyteckich we Lwowie na studiowanie podręczników prawnych, a o ile idzie o poprzednie lata gimnazjalne – pochłaniałem różne podręczniki oraz beletrystykę, zdobywając książki skąd się dało, bo na miejscu wypożyczalni ani czytelnicy nie było.

Gdy przyjechałem do Rymanowa, nie było tu absolutnie żadnego stowarzyszenia, nawet filii tych, które w Galicji były dość powszechne i które miały oddziały prawne we wszystkich miasteczkach galicyjskich. Były to mianowicie: Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” oraz Towarzystwo Oświatowe „TSL” (Towarzystwo Szkoły Ludowej). W niektórych miasteczkach, gdzie ojciec był poprzednio, np. w Dębicy istniały kasyna skupiające miejscową inteligencję, do której np. w Dębicy należeli także oficerowie kawalerii, o ile władali językiem polskim. Po przyjeździe do Rymanowa już w 1896 r. ojciec mój zakrzętnął się wokół założenia tutaj kasyna, gdzie chętnie później wieczorami bywał, grywając w karty wraz z kilkoma innymi amatorami tej rozrywki. Ja nigdy nie miałem do kart „pociągu” do tego stopnia, że nawet będąc w Monako nie byłem ani minuty w kasynie, a co dopiero w marnym Rymanowie. I to nawet w latach akademickich czy poprzednio uczniowskich, a tym bardziej w latach dojrzałości nie powstała tam moja noga. Nie dla „zasady”, ale po prostu widok grających w karty nudził mnie i skłaniał do ziewania. Ta awersja do gry w karty cechowała mnie przez całe życie. Kasyno w braku innej instytucji kulturalnej organizowało od czasu do czasu rozmaite obchody i uroczystości. Pamiętam np. że w r. 1898, kiedy w całej Galicji odbywały się tzw. uroczystości mickiewiczowskie w stulecie urodzin wieszczki, także i Rymanów nie pozostał w tyle. W maju odbył się wieczorek mickiewiczowski, na którym mój ojciec, jako prezes kasyna, wygłosił wykład o Adamie Mickiewiczu, do którego się solidnie przygotowywał. Widziałem wtedy u ojca świeżo wydaną monografię prof. Kallenbacha o Adamie Mickiewiczu w kilku tomach.

W odróżnieniu do Jarosława i Sambora, gdzie zachowały się jeszcze piękne wiejskie stroje ludowe, w okolicach Rymanowa, zwłaszcza w północnej jego części, gdzie wśród niewysokich pagórków położone były wsie polskie, strojów ludowych w r. 1896 już zupełnie nie zastałem. Nawet nie wiem, jak one wyglądały, bo już i starzy ludzie, np. w Posadzie Dolnej i Posadzie Górnej, za moich czasów tych strojów nie nosili. Natomiast nosili je Łemkowie, mieszkający w głębi gór, od strony – jak wówczas mówiono – „węgierskiej granicy”. Wsie przez nich zamieszkane nazywano łemkowskimi. Zaczynały się one od Zakładu Kąpielowego Rymanów–Zdrój 4 km na południe od Rymanowa–Miasta oraz od wsi Deszno i Wołtuszoza. W nich to znajdowały się piękne drewniane cerkiewki z minionych wieków, które zresztą w ówczesnej Galicji były tak powszechne, że nikt ich nie

uważał za osobliwość architektoniczną czy turystyczną, mimo że były one takie rzeczywiście i ceniono by je, gdyby zachowywały się do dzisiaj. Interesujące były nie tylko same cerkiewki, ale także budownictwo chat i stodół miejscowych. Szczególnie piękne były chaty wiejskie w północno-wschodniej części powiatu sanockiego, tj. w Łupkowie, w którym była końcowa stacja kolei miejscowej, i okolicznych wsiach wokół Komańczy w dolinie Osławy. Natomiast stroje łemkowskie, a raczej jakieś żalosne ich strzępy, zachowały się jeszcze w okolicach Rymanowa-Jaśliska aż po Krynicę i Szczawnicę (np. Szlachtowa, Jaworki), lecz należały one do najskromniejszych i najmniej barwnych na terenie całej Galicji. W dodatku Łemkowie nie odznaczali się urodą fizyczną. Częstym objawem było charakterystyczne wykrzywienie twarzy u mężczyzn i kobiet, do którego przyczyniały się wole, które w tych okolicach były zjawiskiem niemal epidemicznym. Nie wiem, czy to prawda, ale bardzo często słyszałem w tamtych okolicach, że wole te w dużym nasileniu występowały właśnie w miejscowościach leczniczych, położonych w głębi Karpat, tam gdzie równocześnie funkcjonowały zakłady kąpielowe, jak np. Żegiestów, Krynica, Rymanów, Iwonicz, Wysowa, Szczawnica itp., jak również w miejscowościach, w których znajdowały się źródła mineralne. Kilka razy w roku w Rymanowie urządzano pokazy etnograficzne strojów ludowych ze Słowaczyny. Miało to miejsce podczas świąt Matki Boskiej w miesiącach wiosennych i letnich, kiedy przez Rymanów wędrowały od południa, tj. od strony Jaślisk, szosą graniczną przez Czeremchę, rzesze pielgrzymów słowackich z chorągwiami. Śpiewano wówczas słowackie pieśni religijne. W tłumie pojawili się też księża. Pielgrzymki zaczynały się w popularnej wśród Słowaków miejscowości odpustowej, mianowicie w Starej Wsi koło Brzozowa. Przy tamtejszym kościele istniał duży klasztor jezuitów, prowadzący nowicjat tego zakonu. Kult Słowaków dla obrazu w Starej Wsi datuje się od czasu, gdy jezuita sprowadzili do wielkiego ołtarza kościoła obraz Matki Boskiej.

Pewnego razu, chcąc poznać okolice na północ od Rymanowa i trochę osłuchać się ze słowacką gwarą, przyłączyłem się do takiej kompanii słowackiej i zawędrowałem do oddalonej o 20 km Starej Wsi. Tempo i tym razem było dość forsowne, ale podołałem mu. Dopiero podczas późniejszych moich wizyt w Starej Wsi, już w okresie, kiedy zaczynałem pojmywać sens sztuki, zauważyłem, że tamtejszy kościół, stojący malowniczo na niewielkim wzgórzu, należy do piękniejszych zabytków rokoka w Polsce. Został wybudowany ok. r. 1740, a zatem w okresie rządów Augusta III, za którego to czasów ten styl panował w budownictwie świeckim i kościelnym. Kościół zdobą dwie wieże, a swoją sylwetką i szczegółami architektonicznymi przypomina równocześnie z nim budowany kościół paulinów w Krakowie na Skałce. Ponieważ należał on do tego samego zakonu co i klasztor na

Skałce, przypuszczam, że oba kościoły budował ten sam architekt. Kościół w Krakowie budował Gancz z Nysy na Śląsku. Ten szczegół artystyczny wspominałem incydentalnie, bo Stara Wieś koło Brzozowa była – obok kościoła Panny Marii w Jarosławiu – jednym z ważniejszych zabytków rokoka, na którym formował się mój zmysł artystyczny w okresie nauki gimnazjalnej. Nie tylko do Brzozowa wędrowałem ze Słowakami. Pamiętam ich regionalne stroje w tonie białym z odwróconymi na wierzch kożuchami owczymi, które nosili nawet w lecie, a tym bardziej w jesieni, kiedy przychodzili na odpust w dniu 8 września. Innym razem – pamiętam – odprowadzałem Słowaków w powrotnej drodze od Rymanowa przez Rymanów-Zdrój i kilka wsi łemkowskich położonych w górach. Wśród nich była jedna wioska polska Królik Polski z kościołem wystawionym tylko dla tej jednej małej osady, leżącej pośród unickich wsi łemkowskich. Doszedłem do granicznych słupów pod Czeremchą, mijając po drodze dwie wioski łemkowskie: Lipowę i Czeremchę. Po stronie Węgierskiej zobaczyłem szosę spadającą w dół, w okolicę położoną na południe od Przełęczy Dukielskiej, gdzie wśród wiosek, po części łemkowskich, po części słowackich, dominowały dwa miasteczka: Stropków i Homonna, o cechach węgierskich, w których za moich lat akademickich, spędzonych w Rymanowie, nie byłem nigdy. Sam nie chciałem zapuszczać się w te strony, a towarzysztwa nie mogłem znaleźć. Poprzestawałem tylko na ich oglądaniu z góry. Podczas tych wędrówek ze Słowakami zaprzyjaźniłem się z nimi do tego stopnia, że zapraszali mnie do odwiedzin w ich wioskach. Jeżeli chodzi o stroje ludowe, trzeba stwierdzić, że jarmarki i targi w Rymanowie nie dostarczały takich wrażeń w tej dziedzinie, jakie dawały niegdyś jarmarki w Jarosławiu i Samborze. W Rymanowie targi tygodniowe odbywały się w każdy poniedziałek. Już w niedzielę wieczorem widziało się, jak szosą z gór, tj. od strony południowej, szły rzesze łemków, wychodzących z domów już przed nocą, ażeby zdążyć na rano do Rymanowa. Wieźli oni na jarmark swój chudy dobytek i bardzo skromne plony gruntów w tamtejszych okolicach. Kupowali wszystko, co im było potrzebne na cały tydzień, bo w ich stronach żadnych sklepów ani sklepików nie było. Z innych okolic, tj. ze wschodu od strony Sanoka, z zachodu od strony Krosna i Iwonicza i z północy od strony Brzozowa i Haczowa zjeżdżali się chłopcy polscy, którzy posiadali wóz, większe, zaprzężone prawie zawsze w konie (podczas gdy Łemkowie jeździli wołami, na małych wózkach), mając tyle miejsca na wozach, że nawet wieprzki na targ się tam mieściły, podczas gdy wieprzki łemkowskie pędzono drogą. W poniedziałki już około godz. 8 rano zapełniał się wozami i chłopami cały rynek i targowica położona na zboczu wzgórza na zachód od rynku. Koło godz. 2 po południu zaczynał się rozjazd chłopów z Rymanowa, ożywiały się natychmiast i kurzyły wszystkie okoliczne szosy w dalekim promieniu.

Był to obraz powtarzający się stale przez 52 poniedziałki w roku, z tym, że do tego przebywało jeszcze kilka wielkich jarmarków ze zjazdem chłopstwa, mieszczan i rzemieślników z miast i miasteczek bardziej odległych od Rymanowa. Jakichś specjalnych wyrobów ludowego przemysłu artystycznego, rodzaju haftów, wyrobów glinianych, skórzanych czy garnków, na tych targach nie zauważyłem. Skoro jednak mowa o ludowej sztuce i o ludowym przemyśle, to trzeba zaznaczyć, że nie tylko wsie łemkowskie miały wspomniane przeze mnie poprzednio tak piękne chaty, jakie zauważyłem w okolicy Łupkowa nad rzeką Osławą. Muszę przyznać, że w żadnym ówczesnym zaborze ani też dzisiaj, w Polsce, nie widziałem wiosek równie pięknych, jak pod Krosnem, np. na szlaku do zamku pod Odrzykoniem, pod Jasłem, w całym powiecie jasielskim, a specjalnie w okolicy Żmigrodu, oraz w powiecie sanockim, gdzie nieraz „zdejmowaliśmy“ je – ale nie w moich latach uczniowskich i akademickich jako okazowo piękne chaty wsi polskiej. W okresie mojej młodości, kiedy przejeżdżałem przez wioski z takimi chatami, nie uważałem ich za osobliwość, i to wielką osobliwość, jaką w gruncie rzeczy stanowiły. Dlatego też nie zwiedzałem ich z odpowiednim natężeniem uwagi i teraz tego żałuję. Przypominam sobie tylko, jak kolorowe były te wsie. Wszystkie domy kryte były słomą, a dachy czterospadowe o kantach nieraz strzyżonych w schody, ściany malowane w barwne pasy. Gdy bywałem później w tamtejszych

okolicach, miałem okazję stwierdzić, że jeszcze jest tych chat sporo, ale już zanikają. Z każdym rokiem przybywało chat budowanych na modę miejską. Może były wygodniejsze dla mieszkańców, chociaż zimne i trudne do ogrzania, ale nie tak piękne i nie tak swojskie, jak tamte z okresu mego dzieciństwa i młodości w ostatniej dekadzie XIX i pierwszej dekadzie XX wieku. Wiele z tych pięknych wsi poszło z dymem, gdyż w okolicy Przełęczy Dukielskiej toczyły się boje podczas I wojny światowej. O ile pod względem etnograficznym targi i jarmarki w Rymanowie nie były ciekawe, to trzeba to samo powiedzieć i o tamtejszych uroczystościach religijnych. Daleko im było do piękna, jakie oglądałem przy tego rodzaju uroczystościach w Jarosławiu, a nawet w Samborze. Tutaj odpust doroczny odbywał się w pełni lata, mianowicie 10 sierpnia, w dzień św. Wawrzyńca, patrona kościoła. Wówczas nie było jeszcze zwyczaju, aby odpust przenosić na najbliższą niedzielę. Tak dalece nie ceniono sobie jeszcze pracy. Odpusty odbywały się w dniu, w którym według kalendarza wypadały. Odpust w Rymanowie, podobnie jak w Jarosławiu, ale na mniejszą skalę, łączono z jarmarkiem w mieście, tylko że tutaj w jednym dniu odbywał się odpust jako uroczystość religijna, a w drugim – jarmark jako impreza handlowa, zastępująca chłopom z okolicy również turystykę masową. W ówczesnym ujęciu mogę ją tak nazwać z tego powodu, że większość chłopów przybywała tu nie dla handlu, ale dla rozrywki i urozmaicenia sobie trochę



Rymanów Zdrój. Łazienki. Ze zbiorów Stanisława Nowotarskiego.

nudnego żywota na wsi. A trzeba przecież uprzytomnić sobie fakt, że większość wsi nie miała wówczas, podobnie jak i nie ma dzisiaj, połączenia kolejowego, że wówczas nie kursowały autobusy, że dojazd do kolei furmankami był bardzo uciążliwy, że nie było tego rodzaju powszechnej rozrywki, jaką dziś dostarcza wsi radio i telewizja czy kino. Życie na wsi, którego zakosztowałem kilka razy w czasie wakacji, miało inny zupełnie charakter, ale nie powiem, aby nie było ono urozmaicone. Ówczesna wieś polska w owej dobie była bardzo przesycona folklorem, barwna, miała swoją „twarz“ w stopniu o wiele większym niż dziś. O ile w Jarosławiu, Samborze, gdzie w pewnej mierze stykałem się ze wsią za pośrednictwem moich kolegów gimnazjalnych – chłopskich synów, których miałem w szkole większość – wiedziałem od nich, że prawie każdy z nich ma kogoś z rodziny w Ameryce osiadłego na stałe, o tyle w okolicy Rymanowa, nie tyle Polacy, co raczej Łemkowie, masowo emigrowali do Ameryki głównie po to, żeby się dorobić tam trochę pieniędzy, po czym wrócić do Galicji i dokupić w rodzinnej wsi trochę gruntów. Wszyscy oni żyli oszczędnie i dorabiali się tego wymarzonego, niewielkiego majątku, pozwalającego na dokupienie kilku krów, kilku koni czy kilku morgów gruntu w jałowej okolicy rodzinnej wsi. W moich latach gimnazjalnych widziałem także częściej w Jarosławiu (ze względu na wycieczki na dworzec kolejowy) niż w Rymanowie, jak sezonowo emigrowało chłopstwo do Prus na roboty. Wyjeżdżało ono na przedwiośniu, w marcu lub w kwietniu, gdy w Niemczech zaczynały się roboty polne, a powrót następował późną jesienią. Wracali w równie nędznych szatach, w jakich jechali, ale z jakąś tam gotówką w kieszeni. Nie była to – rzecz oczywista – gotówka imponująca, ale wystarczała na przeżycie zimy nawet nie pracując. Na przedwiośniu ponownie wyjeżdżano do Prus, a zdarzało się nawet, że ten lub ów zaoszczędził tyle, iż mógł sobie kupić te wymarzone kilka morgów gruntu, parę krów lub koni. Patrząc na tych opalonych i osmaganych wichrem na robotach polnych w Niemczech ludzi, nie mogłem nie być dla nich z całym uznaniem, widząc, jak odmawiali sobie zaspokajania podstawowych potrzeb w jedzeniu czy mieszkaniu w czasie robót w Niemczech. Wspominałem o Kalwarii Rymanowskiej. Nie jest to bynajmniej jakieś miejsce odpustowe czy kościół pielgrzymkowy. Jest to wzgórze niewysokie, dominujące nad miastem Rymanowem od południa. Wzgórze to było ulubionym celem przechadzek podmiejskich mieszkańców Rymanowa i bywałem na nim przeciętnie kilka razy w ciągu każdego miesiąca. Na szczycie wzgórza poprzednia właścicielka Rymanowa hr. Anna Potocka wystawiła niewielką kaplicę, a po drodze do niej 15 kaplic kalwaryjskich. Stąd nazwa wzgórza. W celach religijnych tu nie chodzono, wyłącznie tylko turystycznych, skąd rozciągał się widok na miasto i okolicę. Niedgdyś, w okresie naszego przyjazdu, wzgórze było nagie, później zasadzono tu młode sosenki, licząc, że

porośnie ono sosnowym lasem. Niestety, szalone wichry rymanowskie utrudniały to przedsięwzięcie, młode sosenki szybko się wyłamywały. Po kilkunastu latach utrzymało się zaledwie kilka sosenek. Stąd rozciągał się piękny widok, nie tylko w stronę południa, tj. ku głównemu granicznemu łańcuchowi Beskidów, jakkolwiek najbliższe wzgórze, zwane Łysą Górą, przesłaniało tu dalsze pasmo wzgórz, natomiast w kierunku zachodnim i północno-zachodnim doskonale było widoczne całe tzw. Podole Sanockie z miastem Krosno w centrum, obramowane wzgórzami Podkarpacia. W kierunku Brzozowa dominowały, zwracając najwięcej uwagi, ruiny Zamku Odrzykoń i otoczone legendą skałki „Prządki“. Według tej legendy miały to być zakłete i zamienione w skały córki pana Zamku na Odrzykoniu, za karę, iż przedły w święto Wielkiej Nocy. Stąd nazwa skał. Naturalnie już w pierwszym tygodniu po przyjeździe do Rymanowa poszedłem na szczyt Kalwarii i oglądając okolicę z mapą wojskową 1:75000 wyznałem sobie plany najbliższych wycieczek. Od czasu do czasu, a właściwie w każdą niedzielę, wyjeżdżaliśmy na wycieczki rodzinne. Miały one nie tyle cel krajoznawczy – poznanie okolicy – ile raczej rozrywkę wskutek samej jazdy powozem. Muszę zaznaczyć, że w Rymanowie dorożkarstwo było silniej rozwinięte, niżby na to wskazywała liczba mieszkańców tego miasteczka. Była ustalona taryfa, dość wysoka, nie tyle obliczona dla miejscowej ludności, ile gości przyjeżdżających do Zakładu Kąpielowego. Najwięcej klienteli dawał dorożkarzom Zakład Kąpielowy Rymanów Zdrój, chociaż odległość od dworca kolejowego w Rymanowie wynosiła 9 km. Przyjeżdżający kuracjusze z pakunkami, i to nie tylko z walizkami, ale także z kuframi, bielizną pościelową i ubraniami, byli zdani na łaskę dorożkarzy i ich zdzierstwa. Oczywiście goście narzekali na taryfę. Pamiętam, że za przejazd z dworca do Zakładu płaciło się 8 fl, za wycieczkę z Rymanowa Zdroju do Iwonicza Zdroju 6fl, za wycieczkę do Krosna i Odrzykonka 16 fl, za wycieczkę do bł. Jana z Dukli również 16 fl. Były to sumy wysokie, toteż nie każdy z gości mógł sobie na takie wycieczki dorożkami pozwalać. Ówczesne dorożki były to szerokie landary z budą, którą można było zamykać i otwierać, stosownie do stanu pogody. Normalnie mieściły się w nich 4 osoby, przy pewnym ścieśnieniu – 5 osób, wyjątkowo zaś 6, ale tego dorożkarze nie lubili i żądali dopłaty. W celach użytkowych jeżdżono dorożkami do dworca kolejowego odległego od miasta o 5 km Wyjadzy do Rymanowa Zdroju były tak częste, że nie traktowano tego za wycieczkę. Dla sprawunków wyjeżdżaliśmy najczęściej do Sanoka, odległego od Rymanowa o 25 km w kierunku wschodnim. W Sanoku była jedyna w powiecie księgarnia, poza tym cukiernia, restauracja, handel meblami; nadto zegarmistrz, który równocześnie spełniał funkcję optyka; można było u niego dokonać zakupu okularów względnie tzw. cwikierów, które wówczas były w modzie, chociaż ugniatały nos

i powodowały ranki w punktach ściśniętych sprężynkami. Wspomnę też o wycieczkach, które urządzaliśmy w niedzielę po południu w celu odwiedzenia zamieszkałych w okolicy znajomych lub kolegów ojca z lat szkolnych. Jeździliśmy nieraz dalej – na odległość około 35 km od Rymanowa. Sama podróż trwała 14 godzin (w obie strony), co zajmowało całą niedzielę. Jedną z takich dalszych wycieczek, po lichej drogach górskich, prowadziła do wioski Zawadka Rymanowska, położonej niedaleko Przełęczy Dukielskiej, która raczej powinna nazywać się Zawadką Dukielską. Była to nędzna wioska łemkowska z malowniczą cerkiewką drewnianą, przy której proboszczem grekokatolickim był kolega mego ojca z gimnazjum w Przemyślu ks. Roman Kmicikiewicz, który nas zawsze bardzo radośnie witał i gościnnie przyjmował, nudząc się w swoim pustkowiu, z dala od jakiegokolwiek miasteczka. Chodziliśmy z nim zawsze na dominującą nad Zawadą górę Cergowę (718 m), królującą nad całym powiatem krośnieńskim i nad Podolem Sanoćkim. Jest to najdalej na wschód wysunięty szczyt, z którego w dni pogodne widać Tatry, co stanowiło dodatkową atrakcją dla turystów(...) W dalszej okolicy od Rymanowa ojciec miał jeszcze jednego kolegę księdza, ale obrządku rzymskokatolickiego. Był to ks. Wojtalik, proboszcz w miasteczku Żmigród, na południe od Jasła. Raz tylko pojechałem z ojcem powozem do Żmigrodu, i to bodaj już w pierwszym roku po

przyjeździe do Rymanowa. Droga prowadząca przez środek terenów naftowych między Krosnem a Duklą była bardzo interesująca. Po drodze, między Jasłem a Żmigrodem, przejeżdżało się przez dwa małe, bardzo ładnie zbudowane miasteczka: Dębowiec i Osiek, które jak Pruchnik pod Jarosławiem, słynęły w tych okolicach z pięknych podcieniowych domów drewnianych. Słyszałem, że w czasie ostatniej wojny ucierpiały one znacznie. Czy i w jakim stopniu dotwały do dziś stare domy podcieniowe – nie wiem, bo w latach powojennych nie byłem w tamtych okolicach. Sam Żmigród, położony na wysokim brzegu Wisłoki, też bardzo ładnie zabudowany, miał stary kościół. Przede wszystkim jednak podobały mi się chaty drewniane, kryte słomą, jakie widziałem we wszystkich wsiach w okolicy Żmigrodu(...)

Początki mojej turystyki. Wycieczki w okolice Rymanowa

O ile w okresie mojej nauki gimnazjalnej w Jarosławiu i Samborze nie miałem jeszcze żadnej sposobności ani możliwości czynnego uprawiania turystyki, chociaż mieszkałem na Podkarpaciu, o tyle przeniesienie ojca do Rymanowa, miasteczka położonego w Beskidzie Niskim, i dziesięciokrotne spędzanie wakacji w tej miejscowości, dodawszy do tego moje osobiste zainteresowania turystyką, którymi przejąłem się już w latach dzieciństwa i młodości, spowodowały,



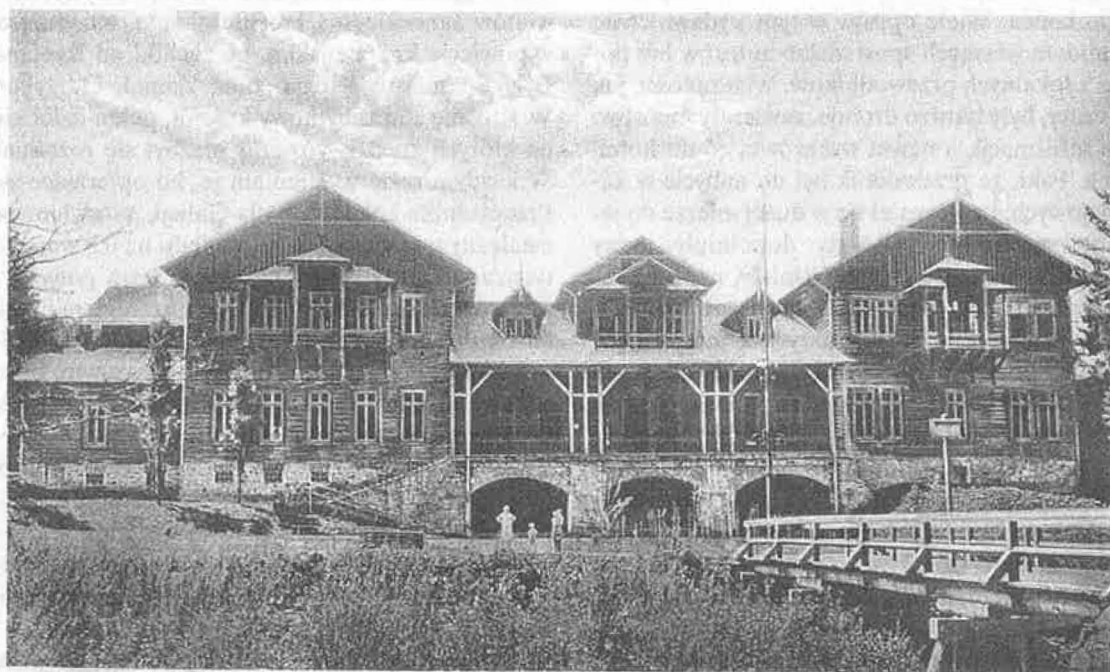
Rymanów Zdrój. Świtezianka. Ze zbiorów Mariusza Włodarczyka.

że jeszcze w okresie, kiedy byłem uczniem gimnazjalnym, robiłem pierwsze większe wycieczki górskie i podróże krajoznawcze, które stanowią jak gdyby uwerturę do mojej późniejszej działalności turystycznej i krajoznawczej, która się stała w gruncie rzeczy istotą i najważniejszym zagadnieniem mego życia. Zaczęło się bardzo skromnie. Na dworcu kolejowym w Rymanowie przy okienku do kasy wisiała nalepiona na tekturze reklama wielotomowego przewodnika po kolejach austriackich, w szczególności pięciu tomów obejmujących teren Galicji. Były to tomy prawie ostatnie, od 28 do 32 włącznie. Ostatni tom tego wydawnictwa, nr 33, obejmował Bukowicę. Okazało się, że w kasie kolejowej Rymanowa można było te wszystkie tomy (6) dostać po niezbyt wygórowanej cenie, bo po 30 grajcarów za tom, czyli komplet interesujących mnie tomów kosztował niespełna 2 guldeny. Otrzymałem tę kwotę od ojca i z prawdziwą pasją już w czasie pierwszych wakacji spędzonych w Rymanowie zanurzyłem się w studiowanie zawartości tych tomów. Całość wydana była w języku niemieckim. Poszczególne zaś tomy nadto w języku krajowym, a zatem tomy dotyczące Galicji – w języku polskim, tom dotyczący Bukowicy – niemieckim i rumuńskim. Tom nr 28 obejmował Kraków, Tatry i Sądecczyznę; Lwów umieszczono w tomie 30, tom 29 obejmował okolicę między Krakowem a Lwowem, tom 31 – Podole. Autorami tych opisów byli trzej dziennikarze, zdaje mi się, że zamieszkali w Wiedniu: Obogi, Ilenda i Smólski, którzy wcale dobrze wywiązali się z przyjętego zadania. Wiadomości czerpali oni na ogół ze Słownika geograficznego Polski, który od roku 1881 wychodził najpierw pod redakcją Sulimierskiego, potem Chlebowskiego. W roku 1895 Słownik nie był doprowadzony do końca. Wiele opisów w tym wydawnictwie były wynikiem własnych spostrzeżeń autorów lub pochodziło z lokalnych przewodników. Wiadomości, jak na owe czasy, były bardzo drobne, zawierały mnóstwo cennych informacji, a nawet wskazówki co do hoteli i dorożek. Fakt, że przewodnik był do nabycia w kasach kolejowych, przyczyniał się w dużej mierze do jego rozpowszechnienia. Reszty dopełniały mapy i przewodniki lokalne, które już istniały, np. po Krakowie, Zakopanem, Tatrach, Lwowie, Karpatach Wschodnich. Naturalnie, nabywszy tak interesującą książkę, nie spocząłem na laurach, dopóki nie przeczytałem od deski do deski wszystkiego, co dotyczyło okolic Rymanowa w promieniu od Jasła po Brzozów i Sanok. Wprawdzie nie zobaczyłem wszystkiego, ale o wszystkim miałem pojęcie, tak że wraz z informacjami, jakich dostarczała mapa sztabowa, wiedziałem to, co wystarczało do organizowania wycieczek po tych szlakach. Trzeba bowiem dodać, że w handlu księgarskim bez żadnych ograniczeń znajdowały się mapy dla całej Austrii tzw. sztabowe, wydawane przez Wojskowy Instytut Geograficzny w Wiedniu z tekstami wyłącznie niemieckimi. Po przyjeździe do Rymanowa z Sambora zobaczyłem w kancelarii ojca pięć-

nie naklejone na tekturze przez introligatora i zawieszane na ścianie dwie mapy sztabowe, gdyż Rymanów leżał pośrodku obu map, obejmujących Sanok i Krosno. Brzegi tych map przebiegały tak, że Zakład kąpielowy w Rymanowie razem z miastem leżał na jednej płachcie mapy („Sanok“), a oddalony od Rymanowa – Zdroju tylko o 6 km Iwonicz – Zdrój znajdował się już na drugiej mapie („Krosno“). Największą przyjemność, kiedy kancelaria nie była już czynna – wieczorami lub w niedziele – dostarczało mi studiowanie map i projektowanie wycieczek w okolicy Rymanowa. Urządzane przez ojca w każdą niedzielę po południu objazdy dorożką okolic Rymanowa – na razie z wizytami do znajomych i przyjaciół – umożliwiały mi poznanie ad oculos sąsiedzkich terenów. Już wkrótce objazdy dorożką nie wystarczały mi. Postanowiłem urządzić piesze wycieczki. Zrazu były to wycieczki, które prowadziły z Rymanowa do wyznaczonego celu, najczęściej był nim jakiś szczyt górski. Co prawda, niewiele mi to dawało, jeżeli dany szczyt był mocno zalesiony, jak np. obydwie szczyty obrzezające Rymanów – Zdrój. Natomiast byłem zadowolony, jeżeli szczyt był nagi, jak np. Wołtuszkowska Góra, leżąca na południe od Rymanowa – Zdroju. Szczyt jej był długi, stosunkowo wysoki (640 m). Widok stąd rozciągał się w kierunku południowym, tj. granicy węgierskiej na szereg szczytów, których nie było widać ani z Rymanowa – Miasta, ani z Rymanowa – Zdroju, a nawet z góry Kalwarii, wznoszącej się tuż nad miastem. Wejście na Wołtuszkowską Górę otwierało przede mną jak gdyby księgę przyrody ze szkicem dalszych interesujących wycieczek po okolicy. Naturalnie, że na pierwsze wycieczki, odbywane przy pomocy kolei, wybrałem największe atrakcje turystyczne powiatów sanockiego i krośnieńskiego, znajdujące się w powiecie krośnieńskim, na zachód od Rymanowa. Były to: miasto Krosno oraz Zamek Odrzykoński. W Krośnie stał zabytkowy kościół, pełen dzieł sztuki, na których zresztą wówczas niezbyt się rozumiałem. W każdym razie wymieniam je, bo opierające się na Przewodniku kolejowym dla Galicji, patrzyłem na nie z należnym szacunkiem ze względu na ich wartość artystyczną i zabytkowy charakter. Stara gotycka fara z czasów Kazimierza Wielkiego z szeregiem pięknych barokowych ołtarzy i zespołem dzwonów XVII – wiecznych, o pięknym akordzie muzycznym, oraz barokowy kościół franciszkanów, stojącym w sąsiedztwie rynku, do którego dobudowano w XVII wieku legendarną kaplicę Oświęcimów, właścicieli Zamku Odrzykońskiego, z wiszącymi portretami więcej niż naturalnej wielkości, budzącymi we mnie grozę portretami rodzeństwa Oświęcimów w strojach z czasów Władysława IV – były obiektem moich zachwytów. Pewnym szczegółem architektonicznym Krosna były bardzo rzadkie na terenie Galicji podcienia okalające rynek, rokokowy kościół kapucynów, przed którym później stanął pomnik wynalazcy lampy naftowej, aptekarza Łukasiewicza, czynnego w Krośnie. Jednak

najbardziej pociągł mnie stojący około 7 km na północ od Krosna, na wysokiej górze, dominującej nad okolicą, Zamek Odrzykoński, wstawiony poematem Seweryna Goszczyńskiego pt. „Król Zamczyska“, który zresztą przeczytałem od deski do deski zanim wybrałem się po raz pierwszy do ruin tego zamku. Mało który z zamków południowej Polski ma tak romantyczne położenie, jak ten właśnie, nazwany od wsi Odrzykoń oddalony odeń o kilka kilometrów na zachód. Idąc z Krosna w kierunku zamku, raz się go widzi na wysokim wzgórzu, to znów znika nam z oczu, gdy schodzimy w głąb doliny, i znów się ukazuje, ale już znacznie bliżej i tak kilkakrotnie, dopóki po ominięciu wspaniałego dębu nie staniemy u stóp resztek zamku wznoszącego się na skałach z piaskowca. Owym „królem zamczyska“, który tu podobno mieszkał około roku 1830, był niejaki Machnicki, oficjalista prywatny, chory na pomieszanie zmysłów. Zamek, należący niegdyś do Moskorzewskich przeszedł potem na Jabłonowskich i z ręką jednej z Jabłonowskich przeszedł na komediopisarza Aleksandra Fredro. Znając zamek jako należący niegdyś do dwóch właścicieli, co wywoływało rozmaite spory między nimi, uczynił go terenem akcji swej popularnej komedii „Zemsta o mur graniczny“. Tym większe zainteresowanie wywoływały we mnie jego ruiny. Wioska, której chaty otaczały zamek, nazywała się Czarnorzeki i należała do siedmiu wiosek ruskich z cerkiewiami unickimi, które leżały odosobnione wśród wsi polskich, między Krosnem a Strzyżowem, i stanowiły tylko enklawę

ruską pośród wzgórz Podkarpacia. U stóp zamku mieszkał chłop, robiący już wówczas nie najgorsze interesy na turystyce i wycieczkach przybywających w celu zwiedzenia zamku. Na ogół byli to goście z zakładów kąpielowych w Rymanowie i Iwoniczu. Wszło to w zwyczaj, aby w czasie sezonu chociaż raz odbyć wycieczkę do ruin Zamku w Odrzykoniu i do skał Prządki, do Dukli, tj. zabytkowego miasta w południowej części powiatu krośnieńskiego i do sąsiadującej z nim pustelni bł. Jana z Dukli, a także do niedalekiej stąd Przełęczy Dukielskiej, którą wiodła szosa strategiczna z Galicji na Węgry. Na sąsiednim wzgórzu, oddalonym od Zamku Odrzykońskiego około 2 km na wschód, wznosiła się największa grupa skał w Beskidzie Środkowym, którym legenda ludowa nadała nazwę Prządki. Są to skały w liczbie kilku o kształtach wręcz fantastycznych, toteż dla młodzieży były i będą zawsze ulubionym celem wycieczek, zwłaszcza że można je połączyć ze zwiedzaniem ruin Zamku Odrzykońskiego i cennych zabytków miasta Krosna. Nie było wakacji w okresie pobytu naszej rodziny w Rymanowie, żebym nie prowadził jednej lub kilku wycieczek do Odrzykoniu i Prządki, bo gdzie jak gdzie, ale tutaj zawsze się amatorzy znaleźli (...). Najczęstszą z wycieczek pieszych prowadzonych przeze mnie z Rymanowa, było przejście przez Łysą Górę i wieś Klimkówkę, które oddzielały Rymanów Zdrój od Iwonicza Zdroju. Iwonicz Zdrój był kilka razy w ciągu każdych wakacji celem przechadzek górskich z większą lub mniejszą grupką gości z rymanowskiego



RYMANÓW-ZDRÓJ, Dom Zdrojowy.

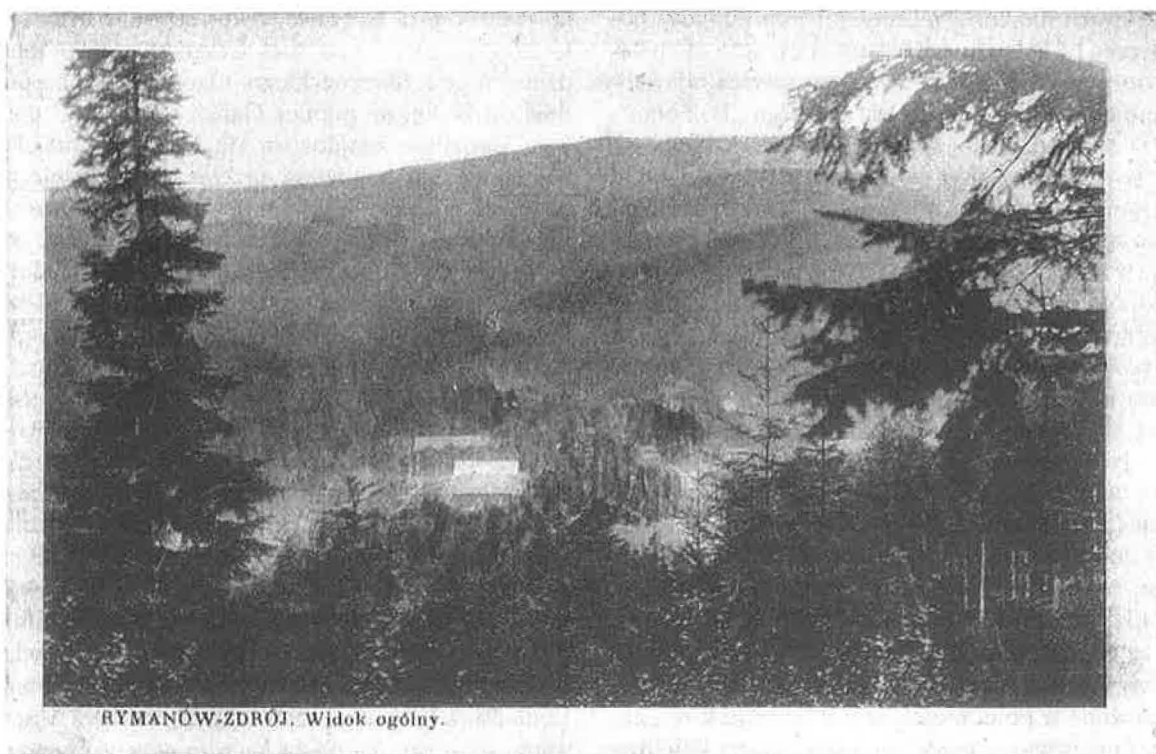
Rymanów Zdrój. Dom Zdrojowy. Ze zbiorów Stanisława Nowotarskiego.

Zakładu Kąpielowego, którzy chcieli zwiedzić Iwonicz, nie ponosząc zbyt dużych kosztów. Gdybyśmy chcieli udać się tam droższą, musielibyśmy jechać okrężną drogą, bo aż przez Rymanów Miasto i następnie szosą prowadzącą z Rymanowa do Krosna aż do wsi Iwonicz, która leżała daleko od Zakładu Kąpielowego. Szosą odległość wynosiła 17 km, przez góry było tylko 7 km. Oszczędność drogi była więc znaczna. Idąc niezbyt szybko z Rymanowa do Iwonicza, przechodziło się ją w półtorej godziny, jadąc zaś droższą traciło się więcej czasu. W dodatku, idąc pieszo, dwa razy wspinano się na grzbiety dość wysokich wzgórz, skąd rozciągał się piękny widok na okolicę, podczas gdy jazda droższą po równinie nie dostarczała takich atrakcji. Zakład Kąpielowy w Rymanowie powstał dopiero w końcu XIX wieku i zabudowany był przeważnie willami drewnianymi, natomiast Zakład Kąpielowy w Iwoniczu, własność hr. Załuskich, posiadający również wody jodowo-bromowe, powstał o wiele wcześniej, miał w centrum budynki murowane, które wznoszono w połowie XIX wieku. Gości w Iwoniczu było przynajmniej dwukrotnie więcej niż w Rymanowie. Przeważały dzieci. Dworzec zdrojowy i łaźienki były gmachami murowanymi. W dworcu zdrojowym była duża sala balowa, orkiestra przygrywała na deptaku, podobnie jak w Rymanowie, ale była o wiele liczniejsza, toteż staraliśmy się przychodzić do Iwonicza wówczas, aby trafić na koncert. Dawało to także okazję do przyjrzenia się miejscowym gościom, wśród których zawsze trafiało się na znajomych. Natomiast ani na przedstawieniach, ani na zabawach nie zostawaliśmy w Iwoniczu, gdyż potem trzeba by było wracać lasami nocą. A to nie należało do przyjemności. W Iwoniczu zawsze udawaliśmy się do palącego się źródła zwanego „Bełkotką“. Źródło to wydzielalo spore ilości gazu ziemnego, który wydobywając się z wody źródlanej bełkotał. Od tego zjawiska poszła nazwa źródła. Po przyłożeniu do wody zapalanej zapalki całe źródło buchało płomieniem i w latach, kiedy go widziałem, paliło się tak długo, dopóki przygotowaną w tym celu miotłą z jedliny nie uderzyło się weń kilka razy, aż płomień zanikał. Gdy później bywałem kilka razy w Iwoniczu, źródło straciło już, co prawda, dużą ilość gazu i wprawdzie jeszcze się zapalało ale już samoczynnie gasło po minucie. Po 40 latach, kiedy prowadziłem wycieczki do Iwonicza, bywało i tak, że „Bełkotka“ nie chciała się zapalić(...) Najczęściej Iwonicz był celem wycieczki sam z siebie, wyjątkowo tylko etapem pośrednim przy dalszej wycieczce z Rymanowa przez Iwonicz Zdrój do Dukli i na pustelnię bł. Jana z Dukli. Normalnie była to wycieczka dwudniowa, podczas której nocowaliśmy w Dukli w małym hoteliku. Było to miasteczko położone w południowej części powiatu krośnieńskiego, pozbawione kolei (najbliższa stacja kolejowa w Iwoniczu). Stąd były jeszcze możliwości do zrobienia dalszej wycieczki albo szosą na Przełęcz Dukielską, albo lasem do pustelni bł. Jana z Dukli, położo-

nej wśród pięknego starego lasu jodłowego na wschodnim zboczu góry. Podejmowane wycieczki do Dukli były dość skomplikowane, dlatego też odbywałem je rzadko. Na ogół wycieczkę w tamtą okolicę urozmaicałem. Raz – pamiętam – byłem tu z rodzicami. Wyjechaliśmy wtedy powozem na cały dzień, zatrzymaliśmy się w Dukli na obiad. Z kolei udawaliśmy się dalej szosą do wsi Barwinek (odległej o 3 km na południe). Stąd do Przełęcz Dukielskiej było już tylko około 500 m. Prowadziła tędy, głównie w czasach przedrozbiorowych, droga na Węgry. Ciągnęły wówczas tą trasą karawany, wiozące z Węgier do Polski słynne wina. Wówczas Dukla słynęła z handlu winem i co za tym idzie – ze składów wina węgierskiego. Do tego celu dostosowane były piwnice w kamienicach handlowych w rynku dukielskim. Tu także znajdowała się restauracja, nawet wcale dobra, i tam właśnie zatrzymaliśmy się na obiad, uzupełniony wspaniałym tokajem. Zresztą nie my jedni przyjeżdżaliśmy tutaj na wino. Już przy pierwszej wizycie w Dukli widziałem, że było tu wiele dorożek z Zakładu Kąpielowego w Iwoniczu oraz Krosna, Jasła i Gorlic, skąd przyjeżdżało do Dukli sporo tzw. nacierzy, których stać było na tego rodzaju „tokajskie“ wyprawy. Zresztą Dukla miała piękny rokokowy kościół farny, ozdobiony wewnątrz zwierciadłami, z grobowcem jednej z Mniszchównych, kościół barokowy bernardynów i pałac niegdyś Mniszchów, ostatnio Męcińskich, w ładnym parku o starych drzewach. Ponieważ park można było zwiedzać tylko za pozwoleniem, ojciec naturalnie o nie się postarał. Nad Duklą od wschodu dominowała okazała góra Cergowa, z której widać było Tatry. U stóp tej góry leżała wieś Cergowa, z dworem rodzinnym gen. Skrzyneckiego. Około 15 km na południe od Dukli, na granicy Galicji i Węgier, 3 km za wsią Barwinek znajdowała się Przełęcz Dukielska. Stanowiła ona najniższą przełęcz w grzbiecie granicznym polsko-węgierskim. Krajobrazowo nie przedstawiała się ona zbyt interesująco. Zajęta przez pola, dość płytka, umożliwiała ładny widok na niezbyt wysokie góry, zarówno od strony Węgier, jak i dawnej Polski. W okolicy na wschód od Rymanowa leży piękna okolica nad Wisłoką, położona między wsiami Sieniawa a Besko. Rzeka Wisłok, wpadająca do Sanu w okolicy Jarosławia, tworzy we wsi Wisłok malowniczy wąwóz. Rzeka przedziera się tutaj przez skały z twardego piaskowca. Obecnie ten wąwóz jest rezerwatem przyrody ze względu na osobliwość i dzikość krajobrazu. W odległym stąd zaledwie o 7 km Rymanowie, w którym mieszkałem przez 9 lat, o tej osobliwości nie słyszałem, wąwozu nie widziałem. Głucho o nim było w Rymanowie.(...) Częstym celem rodzinnych wycieczek były wizyty u zamieszkałego w okolicy Rymanowa krewnego matki, ks. Bronisława Markiewicza, dawnego kanonika katedralnego z Przemyśla. Pod koniec życia wstąpił on do klasztoru salezjanów i otrzymał od właściciela dóbr w okolicy Iwonicza we wsi Miejsce Piastowe spory kawał gruntu, na którym

założył polski zakon salezjanów. Zakon ten poświęcił się kształceniu rzemieślników rekrutujących się spośród zaniedbanych chłopów, przeważnie sierot, nie mających krewnych. Wśród tych wychowanków była także młodzież z małych miasteczek. Miejsce Piastowe było położone około 15 km na zachód od Rymanowa przy szosie do Krosna, krzyżującej się z szosą Przemyśl – Dukla – Przełęcz Dukielska – Węgry, w centrum mniej więcej Podola Sanockiego. Ks. Markiewicz był niezmiernie zapalonym wyznawcą idei wychowania niezamożnych chłopskich synów na rzemieślników i w związku z tym zmienił cały dwór Trzecielskich w Miejscu Piastowym na warsztaty. Kiedy salezianie poduczili swoich wychowanków, puszczali ich w świat jako rzemieślników, którzy różnie sobie w życiu radzili. Wizyty w Miejscu Piastowym, wiosce pozbawionej atrakcji, położonej na równinie, z dala od lasów, nie sprawiały mi specjalnie przyjemności; rzadko kiedy brałem udział w poważnych dyskursach na temat salezjańskich zamierzeń i osiągnięć, które były wcale poważne. Wycieczka do pustelni bł. Jana z Dukli też odbywała się powozem. Wspomniałem o walorach turystycznych Dukli i jej okolicy. Tu dodam, że o ile jechaliśmy na przechadzkę do Dukli, to najczęściej znajdowaliśmy jakąś godzinkę czy dwie godziny, aby odwiedzić pustelnię. Jan w wieku XV był zakonikiem w klasztorze bernardynów w Dukli, mieszkał jednak najczęściej nie w klasztorze, położonym w mieście, ale w sąsiednim wspaniałym lesie jodło-

wym, na jednym ze wzgórz Beskidu Środkowego, gdzie urządził sobie pustelnię, w której oddawał się kontemplacji. Na zimę wracał najczęściej do klasztoru w Dukli lub we Lwowie. Podziwiałem nieraz piękno miejsca wybranego przez błogosławionego Jana na pustelnię. Leżała ona w pobliżu wsi Trzciana, gdzie zostawialiśmy powóz. Wchodziliśmy następnie pieszo dość stromą drogą do pustelni, która wyglądała jak kapliczka. W pustelni mieszkał zakonnik bernardyński z Dukli, zwany pustelnikiem, który dbał o utrzymanie pustelni, przyjmując przy tym jałmużnę. Raz na rok odbywały się tutaj odpusty z nabożeństwem, na które przybywało wielu pielgrzymów. W okresie międzywojennym Towarzystwo Turystyczne skorzystało z oferty bernardynów i za niewielką opłatą (ze względu na bardzo skromne urządzenie) pustelnia udzielała noclegu pod firmą PTT turystom zwiedzającym Beskidy Niskie i okolice Przełęczy Dukielskiej. Frekwencja w tym schronisku była bardzo duża. Czy jest ona nadal utrzymywana – nie wiem. Jadąc na północ z Rymanowa miało się okazję zwiedzić miasto powiatowe Brzozów z barokowym kościołem XVIII-wiecznym oraz Starą Wieś z rokokowym kościołem jezuitów z pierwszej połowy XVIII w., o którym już wspominałem. Mijaliśmy po drodze wiele pięknie zbudowanych wsi chłopskich, gdyż powiat brzozowski obfitował w liczne kopalnie ropy, a zamieszkiwała go ludność względnie zamożna. Najpiękniejszym kościołem w tej okolicy był kościół we wsi



RYMANÓW-ZDRÓJ. Widok ogólny.

Rymanów Zdrój. Widok ogólny. Ze zbiorów Krzysztofa Smereckiego.

Haczów. Wieś ta należała do najzamożniejszych w powiecie brzozowskim. Była to dawna kolonia szwedzka, zupełnie spolonizowana. Osadzeni tutaj jeńcy szwedzcy z okresu wojen szwedzkich szybko zaaklimatyzowali się i przystosowali do polskich obyczajów. Tym niemniej zachowali szwedzkie nazwiska i odmienne typy. Sam miałem w latach akademickich kolegę, studenta filozofii Uniwersytetu Lwowskiego, który pochodził z Haczowa. Nazywał się Józef Ekkert. Był to pełen zapału do turystyki członek Akademickiego Klubu Turystycznego we Lwowie, który często towarzyszył mi w wycieczkach, a po ukończeniu studiów jako nauczyciel gimnazjum w Jarosławiu był bardzo lubianym przez młodzież wodzem uczniowskich wycieczek. Działał później w Wielkopolsce jako starosta, w Gnieźnie i Ostrowiu, a w czasie ostatniej wojny rzucony przez losy na emigrację do Afryki, prowadził tam gimnazjum polskie. Kościół w Haczowie był przepięknym budynkiem drewnianym, z typową wieżą dla polskiego budownictwa z okresu XVII wieku. Został też otoczony opieką konserwatorów jako wybitny zabytek sztuki. Słyszałem, że w ostatnich latach po wybudowaniu przez parafian nowego kościoła murowanego, o dość banalnym wyglądzie, popadł w pewne zaniedbanie. Haczów był oddalony od Rymanowa tylko o 12 km i często odbywałem tutaj wycieczki piesze, przyprowadzając turystów spośród gości w Rymanowie Zdroju, którzy zawsze z zadowoleniem oglądali kościół. Jako szczegół charakterystyczny podam, że synowie chłopów haczowskich prawie z reguły posyłani byli do gimnazjum w Sanoku, a później w Brzozowie. Większość z nich szła na księżę, którzy utrzymywali żywy kontakt z wsią macierzystą; na lato przybywali na kilkutygodniowy wypoczynek do Haczowa. W rezultacie w miesiącu lipcu i sierpniu zjeżdżało tutaj kilkudziesięciu księży, dla których przy ołtarzach drewnianego kościółka brakowało miejsca do odprawiania mszy. Te wyjazdy i wycieczki, dodawszy do tego komentarze, jakie czytałem w przewodniku po Galicji, oraz informacje, jakie zawdzięczałem austriackim mapom wojskowym, sprawiły, że potrafiłem już patrzeć na wszystko z pewną znajomością rzeczy. To wszystko pogłębiało moją wiedzę krajoznawczą, dotyczącą okolic Rymanowa, i dlatego po kilku latach takich wycieczek byłem już dobrze przygotowany do objaśniania tego, co widziałem i rozbudzałem w sobie zainteresowania turystyczno – krajoznawcze. Objawiało się to przede wszystkim w ciekawości tego wszystkiego, z czym można się zetknąć w okolicy, w której się mieszka. Nawyk ten zresztą pozostał mi już do starych lat. I w okolicy Rymanowa – pamiętam – jeżeli stanąłem na jakiejś górze czy przy jakiejś ruinie zamku, zawsze rozległy widok wzmagał we mnie pragnienie obejrzenia terenów mi nie znanych. A kiedy znowu stanąłem na jakimś innym szczycie, ciekawość gnała mnie dalej i dalej. Nim jednak wybrałem się na określoną wycieczkę, wertowałem przewodnik po Galicji, w którym zapoznawa-

łem się z opisem danej góry, ruiny albo okazałego kościoła widzianego z dala. Chodziło mi o to, aby przed pójściem na dane miejsce, dowiedzieć, co należy zwiedzać. Sporządzałem również na miejscu zapiski z tego, co widziałem, na razie jeszcze nie jako przyszły autor Przewodnika po Galicji, ale z ciekawości, sądząc, że w wyższym gimnazjum ktoś da temat krajoznawczy w rodzaju: „Jak spędziłeś wakacje?” albo „Jakie góry w okolicy Rymanowa podobają ci się najlepiej?” albo też „Które miasta w naszej okolicy uważasz za najbardziej interesujące i dlaczego?”. Takich tematów jednak nie doczekałem się. Zatopienie po uszy w ideach Irydiona, Dziadów, Fausta itp., we wzlotach duchowych między gwiazdy nie wyrabiało w moich czasach uczniowskich w najmniejszym stopniu zmysłu obserwacyjnego świata, który nas otacza. Jeśli o mnie chodzi, pewna znajomość zagadnień turystyczno – krajoznawczych, wyrabiana przez praktykę właśnie w Rymanowie i okolicy, sprawiła, że już w czasie, gdy zdawałem egzamin dojrzałości w 17 roku życia, byłem wystarczająco wyszkolony w czytaniu map, w znajomości przewodników, przede wszystkim po Galicji, i zdradzałem sporo zainteresowania dla Galicji jako terenu turystycznego. Byłem ponadto już pewnym znawcą krajoznawstwa Galicji, co miało mi się zresztą przydać w najbliższych latach.

Powyższe urywki zaczerpnięte zostały z wydania Ossolineum z 1977 r.

Dr Mieczysław Orłowicz (1881–1959) był jednym z najbardziej zasłużonych działaczy turystycznych i krajoznawczych. Inicjował utworzenie w 1906 roku we Lwowie Akademickiego Klubu Turystycznego. W 1919 r. kierował utworzonym Referatem Turystyki powstałym przy Ministerstwie Robót Publicznych, którego celem było prowadzenie działalności propagandowej oraz podejmowanie inicjatyw aktywizujących działalność organizacji społecznych w zakresie turystyki. Był także wieloletnim działaczem PTT i PTK.

Dorobek pisarski Orłowicza liczy około 200 pozycji i obejmuje artykuły, broszury, przewodniki i monografie krajoznawcze dotyczące nie tylko całej Polski, lecz również i wielu innych krajów. Orłowicz był autorem pierwszego powojennego przewodnika po Bieszczadach (1954 r.). Do ostatnich niemal dni życia prowadził grupy entuzjastów turystyki na wycieczki i obozy wędrownie, przygotowane zawsze pieczołowicie, z wielką dbałością o treść krajoznawczą i turystyczny obyczaj. Jego imieniem nazwana jest Przełęcz (1060 m) pomiędzy Połoniną Wetlińską a Smerekiem.



Rymanów Najroźny, Najlepiej wzmocnione i gęste wzmocnienie
Kościół Najświętszy, w tym miejscu
Rymanów, 1898-1901